

Metafizyka z błotem zmieszana

„Matka Joanna od aniołów” wg Iwaszkiewicza, przedstawienie opolskiego Teatru im. Kochanowskiego, które zobaczyliśmy podczas Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Łodzi nie nastroja optymistycznie. Reżyser spektaklu nie ukrywa zdegustowania czynieniem z religii narzędzia, za pomocą którego załatwiamy „sprawy” z Bogiem i czujemy się dobrze.

Dramat Johna Whitinga „Demony”, powstały z adaptacji powieści Aldousa Huxleya „Diabły z Loudun”, nawiązuje do autentycznych wydarzeń rozgrywających się w miasteczku Loudun we Francji na początku XVII wieku. Tam właśnie odbył się proces wikarego parafii św. Piotra – Urbana Grandiera, oskarżonego przez przeorysę klasztoru Urszulanek o opętanie zakonnic i konszachty z diabłem. W efekcie sąd inkwizycji skazał księdza na tortury i śmierć na stosie.

Jarosław Iwaszkiewicz w swoim opowiadaniu „Matka Joanna od aniołów” rozwinął twórczo ów wątek, przenosząc akcję na Smoleńszczyznę, do miasteczka o nazwie Łudyń. To tam spalony został ksiądz Garniec, to tam przybywa ksiądz Suryn, by odprawić egzorcyzmy nad zakonnicami. Reżyser Marek Fie-

dor wprowadza kolejną „modyfikację”. Akcję z XVII wieku przenosi w czasy współczesne.

Ksiądz Suryn poddający się wielkiej sile pożądania, którą – jak się wydaje – czerpie nie tylko z samego siebie, ale i z Matki Joanny, dręczony traumami z przeszłości uwalnia się z przyjętych z sutanną ograniczeń, co prowadzi go do szaleństwa. Ofiara, jaką chce uczynić z podwójnego morderstwa, okazuje się jedynie zbrodniczym aktem, który nie skutkuje oczyszczeniem ukochanej kobiety. Nie należy wierzyć diabłu, nawet jeśli mówi prawdę – potwierdza taką interpretacją i takim właśnie zakończeniem dramatu Fiedor. A grzech pychy, bez względu na to, czy nosi się habit, czy... może prowadzić tylko na manowce. A w konsekwencji do zguby.

Wszyscy pozostali bohaterowie, nie umiając dotrzeć do siebie, brodzą w błocie, które oblepia ich coraz bardziej: grzech i wydarzenia w zakonie stają się dla nich rodzajem „niasa”, który komentują w knajpie. Granice między sacrum a profanum rozpadają się...

To dość radykalne i bezkompromisowe, ale precyzyjnie zrealizowane na scenie założenie. Przedstawienie Marka Fiedora jest ze wszechmiar znakomite, szkoda jednak, że



Spektakl Marka Fiedora robi na widzach ogromne wrażenie. Dawno w teatrze nie wypowiadano się na temat powierzchowności pojmowania religii

FOT. WOJCIECH BRZESZCZAK

nie doskonale. Zachwycać może pomysł inscenizacyjny i pięknie oddająca mu się na usługi scenografia (...). Widać, że spektakl stworzony był w natchnieniu, bo brak mu jednak pewnej dyscypliny, która mogłaby lepiej zrytmizować wewnętrzny przebieg. Imponujący pomysł przemieszczających się na szynach platform, na których pojawiają się następujące po sobie sceny, po kilku takich jazdach staje się nużącym monotony.

Mankamentem Fiedorowego przedstawienia jest także nierówny poziom gry aktorów. Szlachetnie

prowadzona rola księdza Suryna przez Przemysława Kozłowskiego, sąsiaduje z cokolwiek manieryczną Matką Joanną w wykonaniu Judyty Paradzińskiej. Wyraziste epizody (np. karczmarka Elżbiety Piwek czy siostra Małgorzata Grażyny Misiorowskiej), wyrastają ponad rolę drugoplanową (ksiądz Brym Michała Swiatały).

Generalnie jednak spektakl Fiedora robi na widzach ogromne wrażenie. Dawno w teatrze nikt nie wypowiadał się na temat powierzchowności pojmowania religii.

MICHAŁ LENARCIŃSKI